



Moje ciotki, ciocie, cioteczki

Gdzieś, kiedyś przeczytałam, że ciotki stworzyła Opatrzność, na dowód tego, że kobieta może być aniołem. Choć nie do końca pewnie wszystkie nasze ciotki spełniały owe anielskie wymogi i nieważne, czy siostry ojca, czy kuzynki babki, czy koleżanki mamy (te też zaliczam do ciotek, kto wie, czy nie najfajniejszych), to jedno jest pewne – wszystkie w jakiś sposób wpłynęły na to, kim jesteśmy!

Stereotyp zakłada, że cioteczka daje siarczyste buziaki, szczypie w policzki i wykrzykuje: „Aleś Ty wyrosła!”. Poucza też rodziców, jak mają nas wychowywać, wypytuje, co czytamy, i wytropi najniewinniejsze wybryki.

Dajcie spokój, nie jest przecież tak źle. Chciałabym bowiem wspomnieć kilka postaci, które są bliskie mojemu sercu, które pokazały, jak przeciwstawić się trudnościom, wreszcie takie, na wspomnienie których uśmiecham się i łapię za telefon... zaraz, zaraz – czasem to już niewykonalne...

Na pierwszy ogień – ciocia Irka. Mimo podeszłego wieku, ciągle ciekawa życia, zmian, postępu. Jest niewyczerpanym źródłem moich genealogicznych dociekań. Ciocia Irka w wieku 80 lat opanowała obsługę komputera, a dziś jako dziewięćdziesięcioparolatka planuje kolejne wyprawy wakacyjne, zaskakując nas swoją kondycją i pomysłami. Jest na bieżąco z wydarzeniami politycznymi, barwnie je komentuje, a mniej lubianych polityków siarczyście przeklina. Ubóstwiam, Cię ciociu!

Ciocia Sasza należy do gatunku „kresowego”. Urodzona we Lwowie, po wojnie zamieszkała w Gdyni. Jej mieszkanie pełne było zdjęć i ocalałych pamiątek rodzinnych, portretów Piłsudskiego i... Wałęsy. Walcząca w Solidarności, w latach 80. XX wieku przysyłała nam „bibułę”. To dzięki Niej wiedzieliśmy na bieżąco, co się dzieje w solidarnościowym podziemiu. Była bardzo wymagająca dla innych, ale również dla siebie. Do dziś przechowuję Jej kartki pisane z przeróżnych okazji – miała charakterystyczne, wyrobione pismo. Strzeliste, nieco kanciaste litery i zdecydowany rozmach – to ucieleśnienie Jej samej! Zawsze prosto się trzymała, siedząc na krawędzi krzesła, ręce wypielęgnowane trzymała „na padołku”, żadnej zbędnej gestykulacji. Rozmowy z Nią to nie swobodne pogawędki – raczej zwięzłe raporty... Mimo to bardzo dobra i kochana, wszyscy się liczyli z jej zdaniem.

Ciocia Madlenka to znana jedynie z opowiadań siostra mojego pradziadka. Postać tragiczna, której historia powoduje, że w naszej rodzinie nigdy nie wymawiamy się chorobą. Wyszła za mąż w 1917 roku w marcu, a w czerwcu jej ukochany mąż został powołany do wojska. Za wszelką cenę pragnęli być razem, więc wymyślili, że gdy on stawi się do swojej jednostki, ona przyśle depeszę o swojej ciężkiej chorobie. Któregoś dnia dowódca wzywa młodego małżonka i wręcza mu telegram: „Wracaj szybko/ stop/ Madlenka umierająca/ stop/ Ojciec/ stop/”. Urlop dostał

natychmiast i uszczęśliwiony opowiadał kolegom o umówionym fortelu. Problem w tym, że nie zdążył nawet na pogrzeb... Jeśli chcę się wymiksować z czegoś, nigdy nie użyję pretekstu choroby. W lipcu tego roku będziemy obchodzili 100. rocznicę Jej przedwczesnej śmierci.

Ciocia Władzia – ulubiona ciotka mojego męża. Była zawsze pogodna, zarażała śmiechem i optymizmem, mimo iż jej życie to niepełnosprawność córki, choroba męża, którego pielęgnowała przez długie lata, i ciężka praca na gospodarstwie. Gdy wchodziło się do kuchni, gdzie najczęściej przebywała, świat wydawał się pogodniejszy, ludzie lepsi, a obiadek czy szarlotka najsmaczniejsze w świecie. Nic nie miało prawa się zmarnować, przydomowy ogród dostarczał przyjemności, ale też sporo pracy. Długie opowieści o dawnych czasach zawsze kończyły się jakąś przyspiewką albo anegdotą. Miała ponad 90 lat, gdy tańczyła na ślubie swojej najmłodszej wnuczki. Gdy starość i choroba przykuły ją do łóżka, nawet wtedy, nie mogąc spać po nocach, śpiewała godzinki, a zaraz potem *Hej, hej ułani*. Jak jej nie kochać?

Są też ciotki romantyczki, żyjące trochę jakby ponad ziemią. Kwiatki, koronkowe serwetki, powieści dla panienek z dobrego domu – to życie ciocie Marylki. Chciwie tropi w rodzinie najmniejsze ślady uniesień miłosnych, a o nieszczęśliwych związkach, jakie zdarzają się przecież w każdej rodzinie, rozprawiać może godzinami. Nie przychodzi jednak do Niej na obiad, bo lodówka pusta, naczynia niedomyte, a umiejętności kulinarne ciocie – żadne. Karmimy ją więc, sprzątamy, płacimy załagłe rachunki i załatwiamy sprawy urzędowe, bo: „Ja się na tym zupełnie nie znam!”.

Jej przeciwieństwem jest ciotka-harcerka. Krótko obcięte włosy, rumiana buzia, szare i luźne odzienie, szorstkie, ale serdeczne obycie – to cała ciotka Halinka. Przy ognisku piosenki z repertuaru harcerek wojskowo-weselnych śpiewa do ostatniej zwrotki. Wszystkie dzieci zabierała na wystawy, do ZOO, na wycieczki po okolicy (zawsze tramwajem, autobusem lub pociągiem). Ganiała nas pieszo kilometrami, a maruderom opowiadała, jak po wojnie musiała maszerować do szkoły z Lubonia do Poznania. Zabierała nas też w swoje ukochane Tatry. Wszystkie szlaki przed wyruszeniem były omówione, zlokalizowane na wysłużonej mapie i przygotowane do ostatniego szczegółu (z rolką papieru toaletowego włącznie!). Jedzenie

u ciocie było zawsze zdrowe i pożywne, a lektury stosowne do wieku i zainteresowań. Jej oszałamiająca biblioteka jest zresztą dla mnie źródłem ciągłego zachwyty i... zazdrości.

O ciotkach z gatunku jędzowatych nie będę tu pisać, bo każdy je zna i świetnie wie, że najlepiej obchodzić je szerokim łukiem.

Nie każdy jednak może się pochwalić ciotką-artystką. Gdy ciocia Ula wybierała po maturze kierunek studiów, bardzo chciała pójść na Akademię Sztuk Pięknych (dziś Uniwersytet Artystyczny). Jej ojciec, twardo stąpający po ziemi pragmatyk, zapowiedział: „Najpierw zawód, a potem fanaberie!”. No i ciocia grzecznie (a były to czasy, gdy dzieci, nawet te pełnoletnie, słuchały rodziców) rozpoczęła studia rolnicze. Gdy była na drugim roku, w tajemnicy przed ojcem, spełniła wreszcie swoje marzenia i ciągnęła dwa fakultety, zostając w końcu magistrem AR i ASP! Życie pokazało, że to ona miała rację, bo zyskała renomę świetnej artystki, zdobyła wiele prestiżowych nagród, a w swojej dziedzinie nie miała sobie równych.

Na koniec najukochańsza ciocia Atka. Jej życie to... dwa życia. To pierwsze to bajeczne dzieciństwo we dworze, francuska bona, zagraniczne wojaże, wreszcie ślub z ukochanym mężczyzną i wymarzony syn. Drugie to wygnanie z majątku, praca zarobkowa w kiosku RUCH-u, ciasne jednopokojowe mieszkanko, właściwie pokój, pełniący jednocześnie funkcję salonu, sypialni i za firanką – kuchni. Nigdy, przenigdy jednak ani słowa skargi czy narzekań. Zawsze uśmiech, dobre słowo i najmiłsze rozmowy. O wszystkim z Nią można było pomówić, ze wszystkiego się zwierzyć. Miała niezwykłą umiejętność słuchania, już samo to dodawało otuchy i nadziei, że wszystko się ułoży. Niezwykle czytana, inteligentna i dowcipna. Krzyżówki z „Przekroju” rozwiązywała ot tak! Dziś, gdy ciocie Atki nie ma z nami już od 25 lat, żadne spotkanie rodzinne nie może się obyć bez wspomnienia o Niej.

Wszystkim moim ciociom wiele zawdzięczam. Jedne nauczyła mnie, jak sobie radzić w trudnych sytuacjach, inne pokazały piękno świata, jeszcze inne były po prostu przy mnie i życzliwie wspomagały dobrym słowem, a czasem wysupłanym z wysłużonego portfela banknotem...

Dziękuję Wam wszystkim, Kochane ciocie, i zapewniam o mojej miłości i pamięci!